WYDAWNICTWO MACIERZY POLSKIEJ

KSIĄŻECZKA 41.

O HETMANIE ŻÓŁKIEWSKIM

NAPISAŁ

FRYDERYK PAPEE.

CENA 8 CENTÓW.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ.
Główna sprzedaż w Administracyi „Macierzy Polskiéj" w gmachu sejmowym, tudzież w Zarządzie Tow. Pedag. ul. Pańska Nr. 11.
1888.

WYDAWNICTWO MACIERZY POLSKIEJ.

KSIĄŻECZKA 41.

O HETMANIE ŻÓŁKIEWSKIM

NAPISAŁ

FRYDERYK PAPÉE.

WE LWOWIE.
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ.
Główna sprzedaż w Administracyi „Macierzy Polskiéj“ w gmachu sejmowym, tudzież w Zarządzie Tow. Pedag. ul. Pańska Nr. 11.
1888.

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki
pod zarz. Jana Gadowskiego.

O HETMANIE ŻÓŁKIEWSKIM.

I.

Założenie Żółkwi.

Niejeden może z was mili czytelnicy pochodzi sam z okolic Żółkwi, inny słyszał coś o tém mieście w pięknéj okolicy niedaleko Lwowa położoném, gdzie wspaniały kościół i starożytne jakieś zwaliska; trzeci czytał może książeczkę „Macierzy Polskiéj“ o królu Sobieskim, który najwięcéj przemieszkiwał w Żółkwi. Może więc niejednego ciekawość zbierze dowiedzieć się, skąd się to małéj mieścinie wzięło na zabytki tak świetnéj przeszłości, że nawet król i to jeden z najsławniejszych królów, więcéj w niéj niż w Warszawie lub w Krakowie rezydował. Pójdźcie ze mną do kościoła żółkiewskiego, to wam wszystko wyjaśnię.

Kościół to takiej okazałości, że nawet i we Lwowie mało równie pięknych; po ścianach marmur i okazałe malowidła, a gdy podniesiesz głowę do góry, to wzrok twój utonie

jakby w niebieskiém sklepieniu we wspaniałéj kopule złocistemi rozetami wykładanéj. Widać, że nie brakowało grosza temu, co kościół ten ufundował, ale widać téż, że i nie żałował wydatku na chwałę Bożą. Przystąpmy bliżéj — aż do wielkiego ołtarza. Z prawéj strony przy ścianie wznosi się marmurowy pomnik dwóch rycerzy; jeden młody, z szablą tylko przy boku, drugi starszy, w prawej ręce trzyma buławę hetmańską, w lewej pieczęć. Buława, to znak najwyższéj w Polsce władzy wojskowéj, a pieczęć wskazuje, że rycerz ten nietylko najwyższą wojskową, ale i najwyższą kancelaryjną sprawował władzę, że był zarazem naczelnym hetmanem i pierwszym sekretarzem, czyli jak wtedy mówiono, *kanclerzem*, przy boku króla. Pod figurami rycerzy stoi w złocistych głoskach imię Żółkiewski — Stanisław Żółkiewski hetman i kanclerz wielki koronny i syn jego jedyny Jan, przedwcześnie w młodzieńczym wieku zgasły.

Zaprawdę słusznie Stanisławowi Żółkiewskiemu pierwsze po Bogu i Świętych Pańskich w kościele tym należy się miejsce; on tę przepyszną świątynię zbudował, on całe to w koło niéj rozsiadłe założył miasto, on wreszcie po życiu poświęconém dobrym uczynkom i obronie rodaków od wrogów, najchwalebniejszą i najmilszą Panu Bogu za wiarę świętą i za ojczyznę z życia własnego przyniósł ofiarę. I nietylko siebie ale i syna jedynego nie pożałował ojczyźnie w potrzebie przeciw Turkom, bo Jan

Żółkiewski z ran w wojnie tureckiéj otrzymanych, zaledwie w 3 lata po ojcu rozstał się z tym światem. Dopiero prawnuk hetmana po córce, Jan Sobieski, który nietylko Żółkiew i mienie pradziada, ale i przymioty jego odziedziczył, pomścił się na Turkach i zgruchotał potęgę ich pod Wiedniem.

Takich to Żółkiew miała fundatorów i takich miała dziedziców. Nic więc dziwnego, że po dziś dzień błyszczą się na niéj resztki dawnéj świetności. O dziedzicu jéj Janie Sobieskim wie już prawie każde dziecko w naszym kraju, ale mniéj jeszcze jest znany pierwszy jéj założyciel Żółkiewski. Na pomniku jego jest po wieczne czasy napis wyryty, jak bił Kozaków i Tatarów, jak cara moskiewskiego brał do niewoli, jak siwą pod Cecorą położył głowę — a wielki obraz naprzeciw pomnika przedstawia sławne jego nad Moskwą pod Kłuszynem zwycięstwo. Ale kto tak wielkich dokazał czynów, czyje życie poświęcone było aż do ostatniej kropli krwi na chwałę Boga i pożytek ojczyzny, tego imię nietylko na zimnym kamieniu — ono powinno być na zawsze w sercach wszystkich rodaków zapisane.

*

* *

Przed laty blisko 300, kiedy to w Polsce król Zygmunt III panował, nietylko ludzie, ale i ziemia sama odmienną nosiła szatę W miejscu, gdzie dzisiaj miasto Żółkiew, były jak

wszędzie naówczas lasy gęstsze i wody obfitsze. Prócz rzeczki, rozścielało się tam jeszcze jezioro przez bobry zamieszkałe, a na polach prócz bujnych kłosów pszenicy i żyta siniały także rzędy winogron. Od winnic téż miała wioska na miejscu dzisiejszéj Żółkwi położona, nazwę Winnik — miasta w tych stronach nie było i śladu. Dziedzicem Winnik i wielu innych wsi pobliskich był pan Stanisław Żółkiewski. Dziadowie i pradziadowie jego jeszcze nie tak obfitym cieszyli się dostatkiem, ale że to byli ludzie rządni i gospodarni, a nie leniący się do służby publicznej, czy to na sejmach i sejmikach, czy to w krwawéj wysłudze wojennéj, przeto niebawem do wielkich doszli majątków i niemałego u sąsiadów znaczenia. Miał już nasz Stanisław Żółkiewski po ojcach swoich wsi i dobytku niemało i dorabiać się już więcéj nie potrzebował, ale dusza szlachetna i rwąca się do czynu, którą wraz z ziemią po swoich przodkach odziedziczył, nie pozwoliła mu gnuśnieć i bezczynnie bogactw używać. Przytem téż miał żywy przykład męstwa oraz wszelakiéj cnoty w krewniaku swoim Janie Zamojskim, najsławniejszym owych czasów mężu. Pod nim uczył się ojczyźnie służyć, jemu dorównać zapragnął. Obrawszy sobie trudny zawód wojskowy, w tylu bitwach tak nieustraszone męstwo i taki rozum w prowadzeniu powierzonych sobie oddziałów pokazał, że go król nareszcie hetmanem zamianował i na straży ziemi rodzinnéj od wrogów postawił.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że żadna inna z ziem naszych nie cierpiała tyle naówczas od nieprzyjaciół, co właśnie ta Ruś Czerwona, gdzie leży Lwów i gdzie rodzinne Żółkiewskiego leżały Winniki. Prawie co rok poganie Tatarzy wpadali tutaj, palili wioski i miasteczka, zboże nawet na polu niszczyli, a ludzi jak trzodę pędzili do niewoli, aby ich do najcięższych używać potem robót. Napatrzył się Żółkiewski w swoich młodych latach dość na tę nędzę ludzką, a nawet i sam mało co że się dzieckiem w ręce nieprzyjaciół nie dostał. Sępy tatarskie zajrzały już do kolebki hetmana. Kiedy małe pacholę piastunka wyprowadziła jednego dnia letniego na łąkę, gruchnęła nagle wieść o napadzie tatarskim. W popłochu goólnym odbieżono zrazu dziecię i ledwie jeszcze na czas przypomniano sobie o niém, aby je w bezpieczne uprowadzić miejsce.

Można więc sobie wyobrazić z jakiem uczuciem szedł Żółkiewski na tę poleconą sobie od króla służbę na straży ziemi rodzinnéj, jak gorąco pragnął jéj ulżyć w niedoli. I rzeczywiście dokazał tego, co pragnął. Długoby o tém trzeba pisać, jak czujnie umiał ludność o tém ostrzegać, gdy nieprzyjaciel zdaleka się zbliżał, jak sprytnie drogę poganom zastępował, jak nagle na karki uciekających spadał i cały im łup odbierał — dość, że w końcu nawet imię jego stało się dla pogan postrachem. Tak samo jak Tatarzy, tak doznali ręki jego i inni nieprzyjaciele ojczyzny; doznał jéj wódz Ko-

zaków Nalewajko, gdy zamiast bić wrogów przemienił się w rozbójnika i swoich własnych braci tak Polaków jak i Rusinów mordować i rabować zaczął, doznali także i Wołosi, źli sąsiedzi, choć chrześcianie. Ziemia ruska jakby odetchnęła na lat kilkanaście pod opieką Żółkiewskiego — nowe zabielały na Rusi i na Ukrainie wioski, świeża ludność popłynęła tam na osadnika z rydlem i lemieszem w ręku. Prawda że Żółkiewski w takiéj służbie i zdrowia i mienia potyrał; nieraz go febra, albo dolegliwe łamanie w kościach, których sobie z wilgoci i zimna w obozach przypytał, rzuciły na łoże boleści; nieraz tysiące z własnéj szkatuły wyłożył na opłatę wojska. Ale takiemu mężowi nigdy nie żal było tego, co dla dobra bliźnich uczynił. Bo posłuchajcie tych złotych słów, które sam testamentem synowi swemu przekazał: „Nie zostawiam ci włości i majętności wielkich“, — powiada – „choć z krwawéj wysługi miałem dochód niemały: wszystkom obracał na służbę rzeczypospolitéj (t. j. dla dobra powszechnego), część majętności po ojcu mym zostawionéj uprzedałem, ale mi tego nie żal; nie na żadne marnotrawstwom tego obrócił, i mnie i tobie to nie zginie; odpłata pewna, niepochybna u Pana Boga za to, co kto dobrym afektem, dobrą intencyą czyni dla rzeczypospolitéj“.

Nie ma co i mówić o tém, że „odpłata pewna, niepochybna“ czekała Żółkiewskiego w niebie, ale i tu na ziemi doczekał się nagrody. Bo dawniéj lepsze były czasy, a kró-

lowie polscy byli dobrzy i sprawiedliwi. Serce rośnie, gdy się czyta, w jak ślicznych wyrazach sam król Zygmunt podziękowanie wypisać mu kazał, ale się na tym bynajmniéj nie skończyło. Obsypał go godnościami i dostojeństwami i pozwolił mu nawet własne założyć miasto, by sobie w niém jakby udzielny jaki książę panował, a od swojego imienia na wieczną pamiątkę Żółkwią je nazwał. Tak rodzinne Żółkiewskiego Winniki zmieniły się na Żółkiew — taki jest piękny początek tego miasta. Stało się to roku 1603.

Ale szlachetny człowiek wszystko na chwałę Bożą i dla dobra swych bliźnich obraca, zmieni się to już w drugą naturę u niego. Bo posłuchajcież teraz jak Żółkiewski z téj łaski króla swego skorzystał. Oto zaledwie sobie zamek mieszkalny nad owém, dziś już zaschłém jeziorem bobrowem wystawił, zaraz pomyślał przedewszystkiem innem o wybudowaniu domu Bożego. Z jaką okazałością to uczynił i z jakim kosztem, to każdy sam łatwo pozna, który ten kościół widział, albo choć tylko czytał, co o nim powyżéj już powiedziałem. Takiego był bowiem przekonania i tak to téż w owym testamencie swoim napisał, iż „żaden koszt lepiéj się nie obraca, jako ten, który na odprawowanie chwały Bożéj“. I nie dość na tem, nietylko kościół, ale i cerkiew w swojém mieście sam ufundował, ponieważ religią ruską tak samo czcił jak swoją własną, a Rusinów tak samo uważał jak i Polaków. Zdarzyło się je-

dnego razu, że podstarości, czyli rządca żółkiewski, nie chciał dopuścić wyboru Rusinów do rady miejskiéj; natenczas hetman w obecności jego i całéj rady oświadczył najwyraźniéj, iż życzy sobie, aby zawsze Rusini spólnie z Polakami na urzędy wójtowskie i radzieckie wybierani byli. Pragnął bowiem ten zacny obywatel, aby Polacy i Rusini w zgodzie i miłości obok siebie żyli, jak bracia, jako synowie jednéj i téj saméj ziemi.

Przy kościołach zaraz téż hetman pozakładał i szkoły, boć dobrze znał potrzebę i wartość nauki. Nie myślcie sobie przecież, aby ten wielki wojownik, który całe życie w obozach przepędził, nie znachodził czasu na książki. Owszem, jak tylko przyszła chwilka swobodniejsza, zaraz zamykał się w swojéj komnacie i rozczytywał się w starych historyach, biorąc sobie naukę z nich dla swoich spraw i stosując je do swoich czasów. Ba nawet i sam bardzo pięknie opisał swoją wyprawę moskiewską, którą wam zaraz opowiem, i jest ta książka w druku wydana. Tak ci téż i synowi swemu usilnie zalecił nauk pilnowanie. „Młodsze lata swe“ — pisze w testamencie — „naukami poleruj, nie daj się nikomu w młodości twojej od tego odwodzić. Mnie wierz, z nauki wielką podporę i wielki ratunek do godności, do służby rzeczypospolitéj, do wszelakiego uczciwego życia mieć będziesz. Nie mów, jako wiele ich: nie mam chęci do nauki; w twojéj mocy ta chęć, każdy kto chce, może ją mieć“. Czyż nie

warto zapamiętać sobie tych pięknych słów, czyliż nie jest to święta prawda, że z nauki człowiek wielką ma podporę i wielki ratunek w każdym zawodzie i w każdym stanie. Bo weźcie sobie tak naprzykład i w waszym stanie: jeden będzie ciemny jak tabaka w rogu i wolny swój czas bez pożytku zmitręży; a drugi, który jest ciekawy do czytania, zaraz sobie w jednéj książeczce znajdzie, jak chatę zgrabniéj zbudować, jak ogród i pole lepiéj uprawić; w drugiéj znowu przeczyta jak ratować w chorobie czy to człowieka, czy zwierzę domowe, a z trzeciéj wreszcie dowie się, co się w dawnych czasach na naszéj ukochanéj ziemi działo i siadłszy zimowym wieczorem przy kominku dzieciom to swoim opowie.

Gdy tak już stanął zamek i kościoły wraz ze szkołami były ufundowane, a wkoło nich zaczęły się ustawiać białe domki mieszczan, garnących się chętnie pod rządy dobrego pana, umyślił hetman otoczyć miasto murami, aby i ono samo było od nieprzyjaciela bezpieczne i aby ludność z okolicznych wiosek jego miała się także gdzie schronić w razie napadu Tatarów. Stanęły tedy potężne mury i baszty, z których dziś jeszcze jedna warowna brama pozostała, a pochwytani w różnych wyprawach jeńcy tatarscy sami musieli chodzić jak woły w jarzmie i kopać fosy na obronę tych murów od swoich zbójeckich współbraci. I było ludziom dobrze i bezpiecznie za tymi mocnymi murami i przy tym prześlicznym kościele i bło-

gosławili imię swego dziedzica. On zaś piękne swe czyny miłosiernem dziełem ukoronował i założył jeszcze w końcu szpital i przytulisko dla ubogich. Aż do dzisiejszego dnia stoi to przytulisko i modlą się w niem dziadkowie i babki za duszę swego dobroczyńcy. Zaprawdę mógł Żółkiewski bez przechwałki i z czystém sumieniem w ostatniéj swéj woli napisać synowi te słowa: „Zostawuję uczciwą sławę, obraz i przykład uczciwych spraw swoich: kiedy się tak będziesz sprawował jako cię uczę, jakom ja uczynił, kiedy się będziesz pana Boga bał, wiele dobrego będziesz miał, pewien bądź błogosławieństwa Bożego".

I po prawdzie też przyznać należy, że gdyby Żółkiewski to tylko uczynił, o czém wam dotychczas powiedziałem, to już zostawiłby po sobie „uczciwą sławę, obraz i przykład uczciwych spraw swoich", nietylko dla dzieci, wnuków i prawnuków, ale dla całéj téj ziemi rodzinnéj, w któréj żył i pracował. Ale tu dopiero początek jego zawodu. Dopiero w 60 roku życia dokonał czynu tak sławnego, na jaki nawet największy wojownik wszystkich czasów, cesarz francuski Napoleon, zdobyć się nie potrafił. Bo Napoleonowi powinęła się noga pod Moskwą i nic na niéj nie wskórał, a Żółkiewski, nietylko Moskali okrutnie poraził, nietylko stolicę ich zdobył, ale cara nawet samego jeńcem przed króla polskiego przyprowadził i nakłonił jego naród, że sobie królewskiego syna wybrał na cara. A druga rzecz,

która się w 10 lat późniéj stała, mniéj szczęśliwa ale jeszcze chwalebniejsza: to bohaterski jego za rodaków i za wiarę św. zgon pod Cecorą. Chwalebniejsza, mówię, bo wiele rzeczy można dla dobra bliźnich dokazać i wiele też poświęcić, ale aby oddać to co każdemu jest najdroższe, aby życie własne przynieść w ofierze, na to nie wystarczy zwykła cnotliwość, to już jest coś, co się w zasłudze do onych świętych Męczenników Pańskich przybliża. O tych dwóch wiekopomnych czynach Żółkiewskiego nie wiedzieć, to wstyd wielki i dla tego też obszernie się o nich rozpiszę i opowiem wam po porządku, najprzód co ów obraz w kościele żółkiewskim przypomina a potém co ten marmurowy nagrobek po wszystkie czasy upamiętnia.

II.

Wyprawa moskiewska.

Słyszeliście pewnie niejedno o wielkiéj potędze i wielkiéj srogości moskiewskiéj. Jużci potęga ich dawniéj jeszcze nie tak była wygórowała, kiedy im nasi nieraz końca dojeżdżali, ale co srogość, to ta im zawsze jakby była wrodzoną. Na co tu daleko szukać, kiedy właśnie za młodych lat Żółkiewskiego był tam jeden taki car, imieniem Iwan Groźny, który

żelazną laską ludziom nogi dziurawił, kiedy z nimi rozmawiał, a za największą sobie rozrywkę po obiedzie miał, własnym poddanym głowy ucinać, albo im kości wykręcać i ciało żelazem przypiekać. Oczywiście, że kto we własnym domu takim jest okrutnikiem, ten i złym sąsiadem się pokaże. Toż i nasza ojczyzna, która od wschodu i od północy z Moskwą graniczy, miała z nią ciągle sporów i wojen co niemiara. Raz nam się w tém lepiéj powodziło, raz znowu gorzéj, ale już nigdy lepsza nie zdarzyła się na nich okazya jak wtedy, bo się sami między sobą byli za łby pobrali.

Dziwna i tajemnicza zdarzyła się naówczas do nowéj wojny sposobność. Było to jakoś właśnie w samym początku zakładania Żółkwi, kiedy w państwie naszego króla Zygmunta III, zjawił się jakiś pielgrzym z Moskwy w mniszym kapturze bazyliańskim, aby odwiedzić święte miejsca w Kijowie. Już dopiął był celu swojéj podróży i odprawił zamierzone nabożeństwo, ale nie spiesznie mu było wracać do domu. Owszem, poznajomił się z rozmaitymi panami polskimi, szczególnie z Wiśniowieckimi, a gdy już do większéj z nimi przyszedł poufałości, odkrył im, że nie jest żadnym mnichem, ale synem zmarłego cara Iwana i prawym dziedzicem korony moskiewskiéj. Trzeba wam bowiem wiedzieć, iż ów car Iwan Groźny, o którym właśnie wspomniałem, zostawił po sobie synów dwóch: starszego Fiedora,

i małego jeszcze Dymitra. Starszy objął po ojcu panowanie; ale znalazł się tam jeden bojar, czyli pan moskiewski, przebiegły, który postanowił skorzystać z tego, że car Fiedor był słabowity i dobrotliwy a brat jego małoletni i przywłaszczyć sobie rządy. Nazywał się Borys, a był nawet szwagrem młodego cara, bo miał siostrę jego za żonę. Ale nic nawet na to pokrewieństwo nie zważał, tylko nasłał najprzód na małego Dymitra zabójców, którzy go z tego świata zgładzili a potem i drugiego szwagra swego Fiedora za pomocą trucizny uprzątnął, a tak rzeczywiście dostąpił korony carstwa moskiewskiego. Otóż ten mnich bazyliański dowodził, że to on jest carewiczem Dymitrem, którego z rąk oprawców ocalono, podsunąwszy im innego chłopca na zabicie. Z początku nie chcieli temu wierzyć panowie polscy, ale jak zaczął rozmaite za sobą przytaczać dowody, tak ich i przekonał, tem bardziéj, że wcale pańskie obejście i niepospolite przymioty okazywał. Zdarzyło się, że jeden z Wiśniowieckich zabrał go był ze sobą do Sambora, do swego teścia Jerzego Mniszcha, wojewody sandomierskiego, który miał jeszcze drugą córkę Marynę, pannę wielkiéj urody i niezwykłego rozumu. Zaraz też Maryna wpadła w oko mniemanemu Dymitrowi, więc zaczął ją sobie pozyskiwać a obiecywać, że się z nią ożeni i że uczyni ją carową w Moskwie. Mniszchowie, jako byli ludzie łakomi bogactw i zaszczytów, zaraz do niego przylgnęli, tak

ojciec jak i córka, i postanowili popierać go w jego przedsięwzięciu. Wyprawili go tedy najprzód do Krakowa, aby był przedstawiony królowi. Dymitr ów, człowiek przebiegły, poznał od razu, że u króla najwięcéj i w świeckich rzeczach znaczą księża, zwłaszcza też Jezuici; jął się więc im pochlebiać, a w końcu, nie wiadomo czy szczerze, przeszedł potajemnie z prawosławia na religią katolicką i obiecał nawet całą Moskwę nawrócić. To mu zjednało serce króla i nuncyusza papieskiego, który był przy królu; a jakkolwiek nie można było otwarcie go wesprzeć, bo właśnie niedawno zawarto pokój z Moskwą na lat 20, to jednak król dał mu pieniądze i postanowił patrzeć przez palce, gdyby mu Mniszech i inni orężnie chcieli dopomóc. Zebrał więc sobie ów Dymitr dość znaczny poczet polskich ochotników, tudzież Kozaków i ruszył z nimi na wschód. Poszczęściło mu się nadspodziewanie. Zaledwie graniczną rzekę Dniepr przebył, już dwa potężne miasta dobrowolnie bramy mu swoje otworzyły, a potém coraz więcéj i więcéj zaczęło się zbiegać doń Moskali z nienawiści do Borysa, który się i dla narodu swego okrutnym okazał. Borys wśród trosk i strachu nagle życie zakończył; a wówczas już wszystko co żyło, przeszło na stronę Dymitra. I tak ów mnich bazyliański uroczyście jako syn Iwana Groźnego i jako prawdziwy car witany wjeżdżał do Moskwy, aby objąć koronę i berło carów. Zaraz też dotrzymał swéj obietnicy,

którą Mniszchom był uczynił i wysłał uroczyste poselstwo do Polski z prośbą o rękę Maryny, wojewodzianki sandomierskiéj. Maryna nadęła się tak, że nawet własnéj królowéj nie chciała pierwszeństwa ustępować, ale już wtedy— już od samego początku — zaczęło się coś kuso kroić jéj panowanie. Bo jak tylko posłowie moskiewscy odbyli swoje uroczyste posłuchanie przed królem na zamku krakowskim, zaraz jeden z nich, co był od potężnego bojara Wasyla Szujskiego dodany, zwierzył się, że Szujski i inni bojarowie czują żal w sercu do króla, za popieranie Dymitra, który wcale carewiczem nie jest, tylko oszustem. Proszą tedy, aby im król nadal tego poniżenia nie czynił, ale raczéj swego syna Władysława carem nad nimi postanowił. Dowiedziała się o tém i Maryna, ale nic na to nie zważała i pojechała z ojcem do Moskwy. Tymczasem choć król Zygmunt na razie w te rzeczy wdać się nie mógł, bo był czém innén zajęty, to i tak panowanie Maryny trwało tylko dni 13. Trzynastego dnia po weselu zrobili Moskale pod naczelnictwem owego Wasyla Szujskiego bunt przeciw Dymitrowi, zamordowali go w rozruchu, żonę wsadzili do więzienia a carem sobie ogłosili Szujskiego. Teraz dopiero zaczęło się w Moskwie zamieszanie na dobre. Jedni uznawali Szujskiego, drudzy zbuntowali się i słuchać go nie chcieli. Nareszcie znaleźli sobie drugiego oszusta, „który był“ — jak powiadał Żółkiewski — „tyle do pierwszego podobny

co człowiek do człowieka“ i jego uznali carem Dymitrem, opowiadając, że uratował się z tego rozruchu w Moskwie. Przyłączyli się doń ci Polacy, którzy z pierwszym oszustem do Rosyi przybyli i inni, co świeżo napłynęli, przyznała się też do niego, uciekłszy z więzienia, i Maryna, bezwstydna a chciwa panowania. Tak więc ten nowy szalbierz urósł w siłę, że niebawem większą część Rosyi zawojował i pod bokiem samego cara Wasyla założył sobie główną kwaterę w Tuszynie, na 12 wiorst od Moskwy. Stąd go téż Moskale „worem“ t. j. złodziejem, tuszyńskim nazwali.

Król Zygmunt, jak mówiłem, zrazu się w te sprawy mieszać nie chciał, ale jak mu car Wasyl Szujski posłów polskich uwięzić kazał, a jeszcze się i z drugim narodem zamorskim, ze Szwedami, na Polskę zmawiać począł, pomyślał sobie: już niechby tam sobie między sobą robili co chcą, ale moich ludzi poniewierać nie dam. Zwołał więc do siebie co najmądrzejszych doradców: naszego Żółkiewskiego i Leona Sapiehę, kanclerza litewskiego — a Litwa, jak wiecie, wtedy z Polską jedno państwo tworzyła — także panów Potockich kilku, i zaczęto radzić co tu teraz począć należy. Wszyscy zgodzili się na to, że najlepsza właśnie sposobność zbić Moskali, kiedy się między sobą kłócą; a aby raz na zawsze mieć spokój od nich, trzeba, jak już niektórzy bojarowie sami nawet chcieli, królewicza carem postanowić. Bo jużci jakby ojciec był królem

polskim a syn carem moskiewskim, to jużby święta zgoda między Polską a Moskwą na długie lata zapanowała. Gdy się tak wszyscy na to zgodzili, zebrał król piękne wojsko i wypowiedział wojnę carowi Szujskiemu.

Było tam na granicy moskiewskiéj miasto wielkie i potężne imieniem Smoleńsk. Mur je otaczał na 30 łokci wysoki a koło 8000 łokci obwodu mający; 38 wież broniło przystępu do tyluż bram, a wewnątrz było do 40.000 wojska, armat 300, tudzież prochów i żywności podostatkiem. Gdy to wszystko pomiarkował sobie Żółkiewski, zaraz zaczął królowi odradzać, aby się pod tém miastem nie zabawiał, ale szedł prosto na Moskwę. Ale że to Smoleńsk należał dawniéj do Litwy i dopiero za dziada teraźniejszego króla stracony został, więc kanclerz Sapieha i inni Litwini uparli się, aby koniecznie dobywać tego miasta. Tymczasem niezadługo pokazało się po czyjéj stronie słuszność — fortecy ani rusz zdobyć nie można było i jeszcze nadeszła nowina, że car Szujski ogromne wojsko pod komendą brata swego wysyła na pomoc Smoleńskowi. Dopiero teraz wszyscy zaczęli prosić Żółkiewskiego, aby brał część wojska i zabiegł drogę Szujskiemu, boby naszych inaczej byli pod Smoleńskiem wzięli we dwa ognie i na nic zniszczyli. Zaraz wysłał król także listy do tych Polaków, co się przy drugim Dymitrze trzymali, aby szli lepiéj pomagać swemu królowi w niebezpieczeństwie, zamiast co jakiegoś szalbierza po-

pierają. I tak się też stało, że co mądrzejsi i zacniejsi opuścili pod dowództwem pana Zborowskiego oszusta i przyłączyli się do wojsk Żółkiewskiego. Przyłączyło się po drodze także i Kozaków trochę, a tak całe wojsko hetmana dorosło do liczby 8000.

Z tymi ludźmi podstąpił Żółkiewski pod fortecę, która mu drogę do Moskwy zagradzała, a nazywała się Carowe Zajmiszcze. Zaczyna hetman walić z armat i do szturmu się gotować, aż tu nadchodzi wiadomość, że młodszy Szujski już niedaleko i nazajutrz na Polaków uderzyć zamierza. Pomyślał sobie hetman: wolę ja ich uprzedzić, niż czekać aż mię napadną. Zostawia tedy część wojska pod tą fortecą, aby nibyto daléj szturmować, a sam tymczasem po cichutku z główną siłą wysuwa się ze swego obozu, tak, że się nawet obleżeni nie spostrzegli. Wojsko przez całą noc maszeruje, aż przeszedłszy mil 4 natrafia pod wsią Kłuszynem na nieprzyjaciół nieprzygotowanych i śpiących, a była ich tam ćma niezmierna, bo 40.000 Moskali a 8.000 wysłanych im na pomoc przez króla szwedzkiego cudzoziemców: Niemców, Szwedów, Francuzów i innych Byli tak pewni zwycięstwa, że nawet samego Żółkiewskiego jeńcem wziąć myśleli. Wódz bowiem cudzoziemców Pontus, będąc dnia poprzedzającego na wieczerzy u Szujskiego rzekł doń: „Gdym był dawniéj przez Polaków do niewoli wzięty, dał mi był hetman szubę rysią, mam ja też teraz z sobola, to mu oddaruję“. I byliby nasi ich wśród snu

potłukli, gdyby nie to, że między wojskami znalazły się płoty, które trzeba było łamać i dwie wioski, które trzeba było podpalić, aby się dostać na nieprzyjaciela.

Gdy Moskalom łuna pożaru zaświeciła w oczy, dopiero porwali się na równe nogi i w największym pośpiechu ustawiać się zaczęli; cudzoziemcy na prawém skrzydle, Moskwa na lewém stanęła. Nasi też już czekali w szyku bojowym; oddziały Zborowskiego w żelazo zakute z orlemi skrzydłami u ramion. czyli hussarya polska, na prawém skrzydle, Kozacy i piechota na lewém, w środku w odstępach od siebie ustawione hufce hetmańskie. Ranek świtał dnia 4 lipca 1610 roku, połyskiwały się zbroje polskie w pierwszych promieniach słońca, długie kopie najeżyły się naprzód, konie rżały, żołnierz był dobrego ducha i czekał tylko hasła do walki. Hetman na bystrym rumaku przebiega szeregi od jednego końca do drugiego, — napomina wojsko do męstwa, przedkłada, że cały ratunek w zwycięstwie; nareszcie widząc wszędzie zapał i dobrą otuchę; każe w trąby i bębny uderzyć do spotkania.

Ruszają z kopyta oddziały hussaryi pana Zborowskiego, ziemia drży, tumany kurzu się wznoszą, żelazne zastępy jakby szalona nawałnica uderzają w szeregi Moskwy. Moskwa rozstępuje się i niby otchłań piekielna ogarnia naszych ze wszystkich stron. Znikają z oczu hetmana nieliczne oddziały polskie; hetman wznosi ręce do Pana Zastępów i hufiec za

hufcem szle na pomoc swoim. Z nieopisanym zapałem wpadają Polacy na wroga, ośm, dziewięć razy odparci, po raz dziesiąty z krzykiem: „do sprawy! do sprawy!“ wracają do boju. Już Moskwa nie jest w stanie wytrzymać téj natarczywości, już chwiać się i rozrywać zaczyna,

Tymczasem na lewém skrzydle Polacy mniéj licznych ale wprawniejszych w boju mają przeciwników. Jazda polska w śmiertelnych zapasach ściera się z dragonią cudzoziemską a piechota obca z za płotu kulami razi naszych. Szczęściem miał hetman ze sobą dwie armaty i dobrą piechotę z kmieci złożoną. Jak lunie w oczy Niemcom z armat, jak każe poskoczyć piechocie swojéj do szturmu, tak Niemcy nie czekając boju cofają się w porządku do pobliskiego lasku, i odsłaniają przez to z boku dragonią. Natychmiast zbiera się na rozkaz wodza kilka rot naszych jeźdzców i z kopiami lub pałaszami — co komu w ręku zostało — od boku uderza na dragonią. Tego uderzenia już nie wytrzymuje cudzoziemska jazda, hurmem zwraca się do ucieczki, nasi na karkach jej wjeżdżają do nieprzyjacielskiego obozu, bijąc, siekąc i koląc.

Zostaje jeszcze rozprawa z piechotą cudzoziemską, która się była pod las przed naszą cofnęła. Ale ta widząc, że Moskwa i rajtarya pobita, najmniéjszéj nie okazuje ochoty do walki. Podsuwają się pod nią co śmielsi żołnierze polscy, wołając złą niemieczczyzną: kum,

kum! Na to kumkanie Niemcy podnoszą kapelusze do góry na znak poddania się i najprzód po 2 po 3, potem całymi oddziałami przechodzą na stronę polską, warując sobie tylko wolny odwrót do ojczyzny dla tych, którzyby nie chcieli służyć pod chorągwią króla polskiego. Przypadł Pontus, wódz ich, aby temu przeszkodzić, ale go nikt nie słucha.

Gdy to widzi Moskwa, która po rozbiciu przez hussaryą Zborowskiego już się w obozie swym trochę była zebrała; strach ją przejmuje śmiertelny i na gwałt w bezładną rzuca się ucieczkę. Nasi wpadają na nich i dokonują zwycięstwa. Tysiąc dwieście trupów nieprzyjacielskich zalega pobojowisko; pieniądze, armaty, wozy, sztandary — pośród nich adamaszkowa złotem wyszywana chorągiew wodza — wpadają w ręce zwycięzców. Sam Szujski boso, na lichéj chłopskiéj szkapinie z biedą do najbliższego miasta dobiega; Pontus co chciał hetmana szubą w niewoli uraczyć odarty do naga przez własnych żołnierzy, zaledwie z życiem uchodzi. Z naszych i połowa tego nie zginęła, co Moskwy; odznaczył się szczególnie Aleksander Zborowski ze swoją hussaryą na prawém skrzydle, „atoli o wszystkich nietylko ja“ — pisze hetman nazajutrz do króla — „ale rzecz sama daje świadectwo, że sobie mężnie, jako się godzi cnym rycerskim ludziom poczynali przy téj służbie waszéj Królewskiéj Mości“.

Zbliżało się dopiero południe tego dnia wiekopomnéj chwały, ale przezorny hetman

zaniechał dalszéj pogoni, pamiętając o swym obozie pod Carowem Zajmiszczem. Jeszcze tego samego dnia nad wieczorem był w nim z powrotem. Co za powrót radosny, co za wesoły zgiełk w obozie! Dziwią się Moskale w fortecy, co się stało, a tu już w nocy woła do nich z szańców piechota o zwycięstwie kłuszyńskiém; na drugi dzień oglądają na własne oczy chorągwie i jeńców i cudzoziemską piechotę już w służbie królewskiéj. Wtenczas upadają na duchu i proszą o układy. W kilka dni potem oddają fortecę Żółkiewskiemu, całe wojsko ich składa przysięgę wierności na imię królewicza Władysława i wszystkie te połączone zastępy pod wodzą hetmana polskiego ruszają na stolicę carów.

W Moskwie popłoch i zamieszanie. Na wieść o klęsce strącają Moskale Wasyla Szujskiego z tronu i odsyłają go do klasztoru. Tymczasem od zachodu zbliża się do bram stolicy zwycięsca kłuszyński, nasz hetman Żółkiewski; od południa nadchodzi Dymitr ze swymi hufcami, z Maryną i z tą resztą Polaków, co się jego jeszcze trzymała. Nie pozostaje Moskalom inny wybór, jak między królewiczem a szalbierzem. Zawierają przeto bojarowie moskiewscy umowę z hetmanem, na mocy któréj uznają królewicza Władysława carem, z tym tylko warunkiem, aby ich religia prawosławna była nienaruszoną i aby im dano pomoc przeciw szalbierzowi. Żądali także, apy i królewicz na ich wiarę przeszedł; ale im hetman tego nie

przyzwolił, owszem zastrzegł, aby przynajmniéj jeden kościół katolicki był na zamku w Moskwie dla ludzi polskich i litewskich, przy młodym panu bawiących. Uroczyste poselstwo moskiewskie wyznaczono do króla pod Smoleńsk z zaproszeniem królewicza na cara, a tymczasem Żółkiewski uszykował swoje wojska do bitwy przeciw Dymitrowi, posyłając po raz ostatni do tych Polaków, którzy go popierali, z zapytaniem, czy wolą służyć własnemu królowi, czy oszustowi. Natenczas i ta resztka Polaków przeszła na stronę hetmana; co widząc szalbierz, z Maryną, z garstką Kozaków i Tatarów umknął po nocy z pod Moskwy. Niebawem téż śmierć go dosięgła; jakiś Tatar ubił go na polowaniu przez zemstę wystrzałem z pistoletu. Maryna włóczyła się jeszcze przez 3 lata z Kozakami i z synkiem swym po drugim szalbierzu Iwanem, po krajach moskiewskich, aż póki ich Moskale nie złapali i nie zgładzili okrutnie z tego świata. Małego Iwanka powiesili a Marynę utopili pod lodem. Taki był koniec téj dziwnéj niewiasty, dla któréj nic nie było świętego, kiedy dążyła do panowania.

W kilka dni po ucieczce szalbierza wkraczał Żółkiewski na czele zwycięskich wojsk do stolicy carów. Na znak zupełnego poddania się oddali mu Moskale cara i dwu braci jego do niewoli. On zaś sprawiedliwością, karném utrzymywaniem swego wojska, zjednał sobie taki szacunek, takie zaufanie u nich, że go ze

łzami i z błogosławieństwem żegnali, kiedy opuszczał Moskwę. Jeszcze takiego przedstawiciela wobec obcych Polska nigdy nie miała; bo też mało kto na świecie dokazał takiéj sztuki, aby go nawet nieprzyjaciel, własną jego ręką potłumiony, pokochał. Jechał Żółkiewski do króla pod Smoleńsk, aby się dowiedzieć, czemu królewicza nie posyłają i aby wyjazd jego przyspieszyć. Zostawiał za sobą załogę polską w Moskwie, jako w mieście zdobytém, a wiódł ze sobą znaki zwycięstwa i carów Szujskich do niewoli wziętych.

Kiedy się już hetman ze swoim orszakiem do Smoleńska zbliżał, wyszedł naprzeciw niego cały dwór królewski i panowie rada polscy oraz litewscy i wojsko ze swymi wodzami na czele, a kanclerz w. litewski Leon Sapieha imieniem wszystkich witał zwycięscę. Ale jeszcze wspanialszy wjazd umyślił mu król przygotować w obliczu sejmu i całego królestwa w Warszawie. Kiedy po 20-miesięcznéj bohaterskiéj obronie i Smoleńsk nareszcie wśród huku dział i łuny pożarów, szturmem przez wojska królewskie zdobyty został, zjechali się wszyscy do stolicy polskiéj na sejm, aby obradzić, co daléj uczynić należało. Wówczas odsłonił się Warszawie widok dotychczas nie bywały. W karecie przepysznéj, przez sześć białych tureckich koni ciągnionéj, jechał hetman Żółkiewski; przed nim w bogatych strojach pułkownicy i rotmistrze, za nim królewski powóz z carem Wasylem Szujskim i dwoma

jego młodszymi braćmi. Z okien zamkowych patrzała królowa i panie na uroczysty pochód, a wkoło cisnęły się niezliczone tłumy ludu, wznosząc radośne okrzyki. Wszedł hetman prowadząc cara za rękę przed majestat królewski i w skromnéj przemowie oddawał jeńców. Polecał ich łasce pańskiéj. przyczém car kołpakiem dotykał się ziemi a bracia jego czołem bili pokłony; mówił o bohaterskiém męstwie wojska i polecał je do nagrody — o swoich zasługach słowem nie wspomniał. Ale dobry pan umiał snać ocenić niezrównanego wodza, bo w jego imieniu tak kanclerz od tronu odpowiedział: „Waszéj mości dzielność, praca, staranie, męstwo, jest tak Jego Król. Mości przyjemne, że przy tak wielkiéj rzeczypospolitéj koronie wdzięcznie przyjmować raczy i z całą wdzięcznością królewską za odważnie podjęte dziękuje trudy. Sama sława imię jego w daleką rozniesie potomność, boś to sprawił, co nad siły i nad wszelkie było oczekiwanie“. Zaraz też zapewnił król hetmana, że pamiętać będzie o dzielném jego wojsku. I w istocie nietylko, że sobie wojacy z moskiewskich ziem przywieźli skarbów niemało, ale i w domu tak hojne otrzymali wynagrodzenie, iż niejeden z hołysza stał się zamożnym; a z owych kmieci przy piechocie służących kto się odznaczył, to już wracał szlachcicem a gruntu do tego dostawał częstokroć niemało.

To tylko wielka i nigdy nie powetowana szkoda, że król jakkolwiek należną zasługom

hetmana okazał wdzięczność, to jednak rady jego nie ze wszystkiem usłuchał. Doradzał Żółkiewski, aby królewicza wysłać jak najprędzéj do Moskwy, był téż tego samego zdania i kanclerz litewski Sapieha; ale panowie Potoccy przedstawiali królowi, aby sam objął rządy Rosyi, bo syn jego jeszcze za młody i da się Moskalom łatwo na ich wiarę i ich obyczaje przerobić. Niestety król posłuchał Potockich, co się niebawem okazało błędem. Bo struna zanadto naciągnięta pękła — Moskwa, która już gotową była uznać carem królewicza Władysława, o królu Zygmuncie ani słyszeć nie chciała. Przytém gdy zabrakło Żółkiewskiego w Moskwie, nie było komu żołnierzy polskich utrzymać w karbach, więc zaczęli się dopuszczać różnych gwałtów i nadużyć. Jedno do drugiego, aż i miarka cierpliwości moskiewskiéj się przebrała i podnieśli przeciw Polakom ogólne powstanie. Załoga polska w Moskwie broniła się walecznie, ale nareszcie okropnym głodem zmuszoną została do poddania się. Tak i z innych miast swoich i ziem wypierali Moskale Polaków. Potém wybrali sobie carem z pośród siebie bojara Michała Romanowa; ten się już utrzymał i jeszcze jego wnuki i prawnuki w Rosyi panowały. Król Zygmunt III wysyłał nowe wojska pod hetmanem litewskim Chodkiewiczem, i syna swego nareszcie wyprawił, ale teraz już było zapóźno. Wygarbowali jeszcze nasi nieraz skórę Moskalom, ale stolicy ich już drugi raz zdobyć nie mogli.

Nareszcie przyszło do pokoju, w którym Rosya zostawić musiała Polsce nietylko Smoleńsk, ale i szeroki pas ziem za Dnieprem. Były to piękne nabytki, ale cóż one znaczyły po świetnych czynach Żółkiewskiego, które mogły były Polskę raz na zawsze od odwiecznego uwolnić wroga!

Hetman Żółkiewski już więcéj na te wojny nie chodził, bo mu żal było, że zmarnowała się jego praca i że dobréj rady jego nie usłuchano. Wyprosił więc sobie inną służbę; poszedł po dawnemu strzedz ukochanéj ziemi rodzinnéj czerwonoruskiéj od pogan. I pobłogosławił Pan Bóg staremu wojownikowi; dał mu zażyć kilka chwil spokoju i szczęścia na łonie rodziny. Jakoś Tatarzy pofolgowali Rusi na lat choć niewiele; hetman czuł się na swoim zamku swobodnym obok przezacnéj żony i w gronie ukochanych dzieci. Syn już podrastał i zaprawiał się dzielnie do broni, najmłodsza córeczka rozkwitała jak pączek róży, a starsza była już od kilku lat zamężną i obdarzyła nawet hetmana wnuczką. Ta wnuczka to matka w przyszłości Jana Sobieskiego. Oprócz rodziny otaczało też nieraz hetmana niemałe grono gości. Wszędzie zażywał zasłużonego szacunku, ze wszystkich stron zjeżdżali się przyjaciele i znajomi, aby się czegoś nauczyć i pożytecznie zabawić w towarzystwie takiego męża. Naówczas bywało, gościnny gospodarz opowiada im o swoich przygodach w ziemi moskiewskiéj i pokazuje przywiezione z niéj skarby.

Tutaj widziałeś stół z kosztownego kamienia przedziwnie wyrobiony, tam rozścielały się bogate kobierce, ówdzie wisiały na ścianach wspaniałe zbroje i złociste przybory do polowania — wszystko z wyprawy moskiewskiéj łup obfity. Było czego słuchać i było się na co patrzeć na zamku żółkiewskim. A w mieście przybywało domów, kończyły się obwarowania, przyozdabiał się kościół. I zdawało się, że pogoda ta przez dłuższy potrwa przeciąg czasu, że stary zasłużony wojownik będzie mógł w spokoju dokonać żywota.

III.

Bohaterski zgon pod Cecorą.

Jest to już tak urządzone na tym bożym świecie, że wszystko się zmienia i nic długo trwać nie może. Tak i nad Żółkwią, prędzéj niżby się kto spodziewał, po krótkiéj pogodzie zaczęły się groźne gromadzić chmury. Nowy nieprzyjaciel obrócił miecz swój przeciw Polsce, nieprzyjaciel straszny, potężny jak mało kto wówczas na świecie, poganin, zacięty wróg wiary św. i wszystkich chrześcian. Byli tym wrogiem Turcy, których panowanie rozciągało się wówczas aż do samego Dniestru. Graniczy na południu z naszą Rusią Czerwoną od strony Kołomyi i Kut ziemia chrześciańska zwana

Wołoszczyzną. Otóż książęta wołoscy z dawien dawna uznawali nad sobą zwierzchnią władzę króla polskiego. Teraz gdy Turcy coraz bardziéj rozprzestrzeniać zaczęli swoje panowanie i na tę ziemię chciwą wyciągnęli rękę, a książęta jéj obecnie sułtana tureckiego musieli uznawać panem i uciążliwe składać mu daniny. A jak pierwéj, gdy obowiązani byli do posłuszeństwa Polsce, nie bardzo się okazywali wiernymi i nieraz nawet pograniczne ziemie nasze splądrowali, tak teraz poznawszy dopiero co to jest jarzmo pogańskie, zatęsknili znowu za łagodném berłem króla polskiego. Ówczesny książę wołoski Gracyan odmówił Turkom daniny i poddał się pod władzę Polski. Trzeba go było tedy wziąć w obronę; to téż król Zygmunt III. wydał Żółkiewskiemu rozkaz, aby przekroczył Dniestr i uwolnił ziemię wołoską od Turków.

Było to zadanie ciężkie, przedsięwzięcie niebezpieczne, które król włożył na barki naszego hetmana, a jednak z upragnieniem Żółkiewski przyjął ten rozkaz. Cóż powiecie na to mili czytelnicy, nawet tak wielkiego człowieka nie oszczędziły złe języki zawistnych. Żółkiewski sprzeciwiał się zawsze wojnie z Turcyą, bo wiedział, że Polska nie dorosła temu wrogowi i dlatego jak długo mógł przez układy zażegnywał grożącą burzę. Otóż to właśnie poczytali mu owi zazdrośni obmowcy za obawę i zaczęli rozgłaszać przed królem i przed sejmem, że Żółkiewski na stare lata stał się już

ociężałym zwlekającym, niepewnym. Oczywiście, że król, który go miał sposobność poznać już od lat 30, nietylko że tym mowom nie dał posłuchu, ale jeszcze na znak zupełnego zaufania przyczynił mu na starość nową godność: urząd kanclerski. Ale i tak przykro było osiwiałemu w boju wojakowi słuchać takich zarzutów od lekkomyślnych albo i od piecuchów. Rad był przeto odważnym czynem zadać kłam oszczerstwom, rad był okazać, że nie dla siebie ale dla dobra pospolitego był ostrożnym. Dla siebie niczego dobrego się nie spodziewał, miał już jakieś smętne przeczucia, ale gdzieżby obawa o swój los mogła powstrzymać takiego męża od tego, co nakazywała powinność i czego wymagał wzgląd na obronę miłéj ojczyzny. Pięknie odzwierciedla ten stan jego duszy list pożegnalny do króla. „Dawnom tego szukał“ — pisze w nim — „nie nad wolę swoją, rad żywot położę dla wiary św., dla służby waszéj król. mości, dla rzeczypospolitéj, nie chcąc być pozostałym, choć to od niéj za wiele prac, za trudy, odwagi, miasto wdzięczności, wielkiem ponosił obmowy, żale. Nie mogę jednak jeno jako najlepiéj życzyć ojczyźnie swojéj; comkolwiek dobrym umysłem czynił, w niebie jedno będzie mi to, da Pan Bóg odpłacono. Jeśli téż, jako mam nadzieję Pan Bóg raczy przeciwko nieprzyjacielowi pobłogosławić, może téż zazdrościwe obmowców języki ucichną“. Potém przedkłada królowi, że „wojna z Turki nie igraszka, że trzeba wytężyć wszystkie siły,

nie żałować żadnych środków i żadnych zasobów, których jest „w téj zacnéj koronie“ podostatkiem, kiedy idzie o obronę wiary św. i ratunek ojczyzny. Radzi daléj, aby na nieprzyjaciela nie czekać w domu, bo to zawsze gorzéj, ale na jego własnéj ziemi z nim się rozprawić. Nareszcie równie pięknie jak zaczął kończy temi słowy: „Zawierając ten list, żegnam waszą królewską mość, pana mego miłościwego, tak się czuję i z tém idę na sąd Boży, żem wiernie i życzliwie waszéj król. mości służył. Jeślim w czém jako człowiek nie dogodził, racz wasza król. mość miłościwie odpuścić a synowi memu, jeśli go zachowa los wojny, racz być miłościwym panem. Niech Pan Bóg w. król. mość chowa w długi wiek dla rozmnożenia chwały swojéj i dobra rzeczypospolitéj, a po tym żywocie przyjmie do chwały swéj, gdzie sam żyje i króluje z Synem i Duchem św. Bóg wieczny i prawdziwy. Dan z Baru do wojska wyjeżdżając, dnia 26 sierpnia 1620 roku“.

Taki list posłał hetman do króla, poczynił téż dodatki do swego testamentu, który już dawniéj był sporządzony, i w imię Boże wyruszył z miasta Baru na Podolu ku Dniestrowi. Na samém wyjezdném zerwała się straszna burza nad wojskiem, piorun strzaskał znak hetmański, niesiony przed wodzem, a konie przy jego karecie spłoszone hukiem grzmotów i blaskiem błyskawic zaplątały się tak w chomątach, iż z miejsca ich ruszyć nie zdo-

łano. Nareszcie niebo się rozjaśniło i wojsko bez przeszkody posunęło naprzód; tylko że ten i ów już sobie ową burzę jako złą wróżbę tłómaczył i niepotrzebnie na duchu podupadał.

Wojsko było niewielkie, ale pięknie uzbrojone; warto było spojrzeć jak coraz inne oddziały wyciągały ku polom naddniestrzańskim. Najprzód widziałeś 1200 Lisowczyków, czyli lekkiéj jazdy polskiéj: twarze wąsate i zamaszyste, na głowach futrzane czapki, w ręku spisy, szable przy bokach a przez ramiona przerzucone strzelby. Za nimi szumieli orlemi skrzydłami hussarze, skóry lamparcie i tygrysie zwieszają się z ich ramion, na piersiach błyszczą stalowe pancerze a na głowach hełmy z pióropuszami. Kopie w rękach potężne, na 8 łokci długie, sterczą jak las ku górze i powiewają proporcami. Takim kopiom w pierwszym rozpędzie nic się oprzeć nie może. Szło tych hussarzy półtora tysiąca. Daléj postępowało rajtarów, czyli dragonii z długimi pałaszami 200, lud dobrany — na jego czele pułkownik Denhof, młodzieniec niezrównanego w boju męstwa. Jeszcze nowe wysuwały się po nich oddziały, to już pułki lekkie: Kozaków, jazdy barskiéj, wreszcie poczty przybyłych do obozu panów polskich: Koreckiego, Potockiego i innych. Jest téż na co popatrzyć, kiedy przechodzi piechota: chłop w chłopa rosły i ogorzały w obozach — kmiecie to z dóbr hetmańskich a między nimi najęci Węgrzy i Niemcy. Na głowach wielkie kapelusze, wysokie buty na nogach; uzbroje-

nie ich tworzą strzelby z szerokimi wylotami, czyli tak zwane garłacze i długie spisy, które zastępują dzisiejsze bagnety. Kończyła pochód niewielka liczba armat pod dowództwem Teofila Szemberga i liczny tabor wozów — na nich sług i pachołków wojskowych, czyli ciurów, niemała zgraja. Nad wozami miał dozór Marcin Kazanowski, sprawny w urządzaniu warownych obozów, czyli jakby to dziś nazwać można jenerał od inżynieryi. Otoczony świetnym orszakiem pułkowników jechał hetman i kanclerz wielki koronny Stanisław Żółkiewski, mając przy sobie syna swego Jana i bratanka Łukasza. Dzielił z nim dowództwo wyprawy hetman mniejszy czyli polny koronny Stanisław Koniecpolski, dawniéj zięć Żółkiewskiego, obecnie już wdowiec po młodszéj córce hetmana i powtórnie już z inną ożeniony, ale zawsze wierny przyjaciel i nieodstępny towarzysz. Ogólna liczba tego świetnego wojska wynosiła 8.400 ludzi. Nie było ono jak na owe czasy tak bardzo małe, bo już z mniejszém hetman nadzwyczajnych rzeczy dokonywał, ale podkopywał siłę jego brak należytéj karności. Wielką w nim część tworzyły bowiem oddziały niechętnych hetmanowi panów, jak Korecki, Potocki i inni, a prawdziwym ciężarem była zbyt wielka, bo może drugie tyle co samo wojsko wynosząca ilość ciurów, czyli pachołków służbowych, uzbrojonych wprawdzie, ale tchórzliwych a niesfornych i chciwych rabunku.

Hetman odbył przegląd wojska nad Dniestrem, poniżéj Mohylewa a potem przekroczył z niém w pierwszych dniach września rzekę graniczną i stanął na nieprzyjacielskiéj ziemi. Kraj ten między Dniestrem a Prutem aż do morza Czarnego staczający się, nosi po dziś dzień nazwę Bessarabii. Obecnie należy jak i większa część Podola do Rosyi, ale wówczas jeszcze stanowił część Wołoszczyzny, nad którą Turcy panowanie swoje rozciągnęli. Ziemia to smutna i niegościnna: step szeroki, pośród którego sterczą nagie skały i sączą się leniwie wysychające w lecie rzeczki. Po stepie wałęsała się rzadka i uboga ludność, przez Tatarów ciągle trapiona.

Po przekroczeniu Dniestru oczekiwali wodzowie przybycia księcia wołoskiego Gracyana, który 25.000 ludzi przyprowadzić obiecał. Ale chytry Wołoch zmiarkowawszy, że wojsko polskie zbyt słabe przeciw sile Turków, chciał zemknąć potajemnie przez Polskę do Niemiec. Dowiedział się o zamysłach jego hetman i w surowym liście dał poznać księciu, że potrafi przeszkodzić jego zamiarom. Udał więc Gracyan dobrą ochotę i stawił się w obozie polskim, ale zamiast 25.000 przedstawił tylko 600 jeźdzców, którzy dopełnili liczbę wojska naszego do 9 tysięcy.

Teraz odbyto wspólną naradę wojenną i postanowiono ruszyć pod Cecorę, niedaleko wołoskiéj stolicy Jass, gdzie w dawniejszych jeszcze wojnach hetman polski Zamojski nie-

gdyś był kazał usypać okopy. Z tych okopów chcieli wodzowie albo zacząć dobywanie Jass, albo w razie przemagającéj siły Turków bronić się i oczekiwać posiłków z Polski i z Wołoszczyzny. Dnia 12 września przybyły hufce polskie na to miejsce i niebawem też hetman rozpatrzywszy się w położeniu, kazał poprawiać szańce i uzupełniać obwarowanie. Tu już okazały się pierwsze ślady niesforności, bo wojsko szemrało, że przyszło się bić a nie szańce kopać, a znaleźli się i mędrkowie, którzy radzili szukać Turków i uderzyć na nich, zanim się należycie zgromadzą. Tymczasem nie trzeba ich było szukać, bo zjawili się sami zanim okopy jeszcze były ukończone i to tak niespodziewanie, że zagarnęli do niewoli około 1000 ciurów, szukających za obozem paszy dla koni, a niebacznych na dany przez hetmana wystrzałem z armaty znak do odwrotu. Była to wielka dla całego wojska szkoda, bo Turcy zaraz od jeńców dowiedzieli się wszystkiego o siłach i rozkładzie chrześciańskich zastępów. Poganie rozwinęli potęgę nie małą: samych Turków było do 10.000, między nimi wiele hufców pancernych, a wszystko dobrze uzbrojone i ochocze do walki. Szli środkiem, a po bokach ich uwijały się niezliczone ćmy dzikiego Tatarstwa, w liczbie 20 do 25 tysięcy. Na czele Turków stał wytrawny wódz Skinderbasza, waleczny, przezorny, a pałający żądzą zniszczenia Polaków; nad Tatarami przewodził straszliwy Kantemir, którego sami poganie do

wściekłego słonia porównywali. Od lat już 30 szabla jego pławiła się we krwi chrześciańskiéj.

Gdy się te potężne zastępy pogańskie rozwinęły, dopieroż każdy przejrzał mądrość rozkazu hetmańskiego i rzuciło się wszystko do wykończenia szańców. Tego samego dnia (17 września) były już wykończone, a następnego wysunęło się mnóstwo ochotników polskich na harce z Turkami. Potyczki wypadły szczęśliwie — wojsko było dobrego ducha i żądało bitwy.

Hetmani widząc taką otuchę w wojsku chętnie na nią przyzwolili. Sprawili obóz, zabezpieczyli go działami i w sobotę dnia 19 września 1620, wyprowadzili zastępy swoje w szyku bojowym za szańce. Wszystko było dobrze i mądrze obmyślane. Mając siły słabsze postanowili hetmani zasłonić swoje prawe i lewe skrzydło taborami. Tabor był to czworobok złożony z wozów zaprzężonych końmi a pospinanych ze sobą łańcuchami. Stanowił on niejako ruchomą fortecę, z którą można się było zbliżać pod nieprzyjaciela i potężnie go razić kulami. Oba tabory urządzone właśnie przez Kazanowskiego miały i w środku wozy dla większéj siły; między wozami szła piechota ze strzelbami, a po bokach i z tyłu sterczały działa i śmigownice. Między oboma taborami ustawiona jazda miała nacierać na nieprzyjaciela; taborów zadaniem było jéj boki osłaniać, podczas gdy okopy obozowe tyłów broniły.

Wysunęły się środkiem dzielne oddziały

husaryi i zaraz w pierwszém potężném uderzeniu zachwiały hufcami Turków. Ale tabory nie wykonały należycie swego zadania. Lewy posunął się za mało na lewo, wskutek czego prawy przez rozwijające się coraz szerzéj oddziały jazdy popchnięty został za daleko w przeciwnym kierunku. Widzi hetman polny Koniecpolski, że odsłonił się przez to prawy bok jazdy i wpada natychmiast do prawego taboru, aby go nazad ku jeździe wycofać. Daremne usiłowania — woźnice i ciurowie w śmiertelnym strachu rzucili się pod wozy — taboru z miejsca ruszyć niepodobna! Spostrzegają błąd w szykach polskich Tatarzy i zaraz w potężnych oddziałach uderzają w bok hussaryi, otaczają prawy tabor i odcinają go od swoich. Prawy tabór bez ratunku zgubiony, całe wojsko z kilku stron naraz zaczepione w największém niebezpieczeństwie. Cudów waleczności dokazują Polacy — przyświeca im rycerski przykład wodzów. Gdzie niebezpieczeństwo największe tam się zjawiają hetmani; Żółkiewskiego pułk waleczny do połowy wycięty; Koniecpolski swoje oddziały osobiście prowadzi na wroga, własną ręką morduje pohańców. Hussarze w natłoku swych kopij, piechota strzelb użyć nie może. Giną waleczni pułkownicy, padają pod ciosami pogan towarzysze i żołnierze, nie ustępując w zaciekłym boju. Mężny Denhof po dwakroć śmiertelnie ranny z 15 tylko ludźmi zostaje na placu, z prawego taboru przebija się kapitan piechoty rodem Węgier z garstką walecznych i Szem-

berg sam — jeden bo działa jego zabrali Tatarzy — do obozu. Noc zapada; środek i lewe skrzydło cofa się po 6-godzinnym bohaterskim boju w porządku do okopów, z prawego jednak kto się nie przerznął przez tłumy tatarskie ten na miejscu ginie lub idzie w pęta. Gdyby nie owe okopy hetmana, które tak niechętnie sypano, cóżby się było z całém wojskiem stało? Niewątpliwie to, co z prawym taborem.

Nazajutrz obliczano straty. Poległych było wprawdzie tylko 350, ale wielu ranionych a kilkaset do niewoli wziętych. Między rannymi znajdował się też syn i bratanek hetmana. Turcy, co prawda, krwawo opłacili zwycięstwo, bo 3.500 trupów zostawili na placu, ale byli zwycięscami i nabrali ducha o tyle, o ile go wojsko nasze straciło. Ten to upadek ducha większą był daleko klęską niżeli strata w ludziach, koniach i działach, bo obaczymy zaraz jak okropne pociągnął zą sobą następstwa.

Hetmani postanowili teraz urządzić jeden wielki tabor i takim taborem cofać się ku granicom Polski do Mohylewa nad Dniestrem. Tymczasem, aby zyskać na potrzebnym do przygotowań czasie, umyślili Turków zająć układami. Usłyszawszy to książę wołoski Gracyan, jako sam był zdradliwy tak i drugich o zdradę podejrzywający, obawiał się, aby go hetmani nie zechcieli wydać Turkom. Nuż więc buntować wojsko, aby nie szło ku Dniestrowi, ale zostawiwszy wozy krótszą drogą

przez Prut uciekało na Bukowinę. Skoro tylko trębacz wieczorną zagrał pobudkę, zaraz Gracyan ze swoim oddziałem wysuwa się z obozu i pociąga złym przykładem za sobą Koreckiego i innych tak ze starszyzny jak i z wojska. Rzucają się hetmani w drogę, aby powstrzymać tych, którzy w haniebnéj ucieczce chcą szukać ocalenia nie dbając o współtowarzyszów swoich. Niegodziwi niczem powstrzymać się nie dają — robi się ścisk i zamieszanie okropne. Korzystają z niego ciurowie i bezwstydnie rzucają się na rabunek własnych panów. Krzyk i zgiełk w obozie wśród ciemności nocnych, jakby sądny dzień miał nastawać. Naraz rozlega się głos: hetmani uciekają, hetmani uciekają! Na tę wieść nawet najzacniejsi upadają na duchu i głowę tracą. Natychmiast każe przeto Żółkiewski nieść przed sobą swój buńczuk hetmański i przy blasku pochodni pokazuje się w różnych stronach obozu. Napomina niesfornych do posłuszeństwa, zaklina ich, że z nimi razem zwyciężyć lub umrzeć gotowy, że nigdy wojska opuścić nie myśli. „Na wały, na wały! bronić okopów od wroga!“ rozlega się komenda wodzów wśród ciemności nocnych, ale ledwie garstka wiernych śpieszy z hetmanem polnym na szańce; reszta jakby skamieniała otacza w milczeniu wielkiego hetmana. Jakieś prawdziwe miłosierdzie Boże sprawiło, że Turcy nie spostrzegli zamieszania, bo gdyby byli wówczas napadli, całyby obóz na szablach rozniéśli. Ci tylko, którzy haniebnie opuścili

wodzów, ponieśli zasłużoną karę. Jedni znaleźli śmierć w nurtach Prutu, innych Tatarzy mordowali, tak że aż do obozu słychać było jęk ginących, ten zabłąkał się w lasach, ów znowu żywcem popadł w ręce pogan. Zginął też i zdradliwy Wołoch Gracyan, który był sprawcą rozruchu. Reszta ze wstydem wróciła do obozu. Książe Korecki stawił się cały zmoczony przed hetmanem i jeszcze miał tę zuchwałość wyrzucać wodzowi, że to z jego przyczyny cały ten popłoch. Zmierzył go tylko na to pogardliwie Żółkiewski i rzekł: „ja tu stoję, a woda ze mnie nie ciecze“.

Ranek świtał już po téj okropnéj nocy, dopiero się rozruch uspokoił. Zaczęto się obliczać, kto został, kogo ubyło i już tylko 5.000 okazało się zdolnych do boju. Złożyli hetmani radę wojenną, co czynić ze sprawcami rozruchu, co z tymi, którzy się rabunków dopuścili i uchwalono ukaranie ich odłożyć na późniéj. Chcieli hetmani ująć ich łaskawością, chcieli zostawić im czas do poprawy. Ale najgorzéj się stało, bo rzadko niegodziwy człowiek po darowaniu winy się poprawi, a zwykle go bezkarność zachęca tylko do jeszcze większych występków. Zobaczycie to późniéj, jak się hetmanowi za takie dobrodziejstwo odwdzięczyli. Żeby przecież coś dla pokrzepienia ducha uczynić, złożył hetman przed całem wojskiem przysięgę na ewangelią św. że nigdy nie myślał opuszczać wojska w niebezpieczeństwie. Rycerstwo się uspokoiło i zaczęło przygotowywać do odwrotu, a Kazanow-

ski urządzał nowy wielki tabor do osłony pochodu. Tymczasem toczyły się układy z Turkami o wolny powrót — ale daremnie. Turcy znali słabość naszych i pragnęli zagłady chrześcian. Gdy więc już wszystko było przygotowane trzeba było wyruszać, aby sobie samemu wśród tłumów nieprzyjacielskich utorować drogę.

W sam dzień świętego Michała archanioła, 29 września wieczorem, ruszył tabor przez rozkopaną jednę stronę obozu w drogę. Natychmiast otoczyli go Tatarzy jak gdyby stado wyjących wilków z dzikiem okrzykiem Ałłah! Ałłah! (tureckie wezwanie Boga). Przez całą noc posuwał się jednak tabor naprzód przez środek obozów tatarskich, broniąc się dzielnie od wrogów. Dopiero następnego dnia uzyskał chwil kilka odpoczynku. W nocy znowu maszerowało wojsko naprzód, ale im więcéj zbliżało się do Dniestru, tém napady tatarskie stawały się sroższe, tém utrudzenie ludzi większe. Nocami trzeba było posuwać się naprzód, we dnie walczyć z całym wysiłkiem przeciw zajadłym wrogom. A tu słońce przypiekało z niezwykłą w czas jesienny siłą, kurz, dym ze strzałów i z zapalonych przez Turków traw zapierał oddech w piersi i zasłaniał widok przed okiem. Żołnierz szedł po rozpiekłéj ziemi upadając z wysileń i trudów; nareszcie głód najsroższy nieprzyjaciel zajrzał mu w oczy. Dodajcie do tego bezsenność a będziecie mieli wyobrażenie, co wojsko polskie wycierpiało w tych okropnych dniach. Kto był silniejszy,

ten wlókł się jeszcze jako tako; słabsi rzucali się na wozy, inni wreszcie odchodzili od przytomności i padali na miejscu. Z owych 5.000, które ruszyły z pod Cecory, została po tygodniu już tylko połowa. Nareszcie dnia 6 października Turcy po ostatnim bezskutecznym napadzie, postanowili już więcéj nie ścigać Polaków, tylko zostawić Tatarom odprowadzenie ich do granicy. Już bowiem stracili zupełnie nadzieję rozbicia taboru, już im się z rąk wymykał, już tylko $1^1/_2$ mili oddzielało naszych od Dniestru! Miły Boże, jeszcze tylko chwilka wytrwania. a wojsko było ocalone. Wtem znowu jakiś szatan zaczyna siać ducha niezgody i nieposłuszeństwa między wojskiem. Hetmani każą iść bez przestanku, aby przed wieczorem dobić do brzegu, żołnierze szemrzą, że już sił im nie staje i żądają spoczynku. Musieli im w tém ustąpić hetmani, choć nawet nie było przy czém odpoczywać. Z sercem boleścią przepełnioném, uczuł Żółkiewski, że to ostatnia jego chwila wytchnienia i zasiadł do listu, aby się pożegnać z najdroższą małżonką. Posłuchajcie rzewnych słów bohatera w obliczu śmierci:

„Miłościwa jéjmość pani, a pani małżonko ma sercem ukochana i wieczyście miła!

Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła, Pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnach hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętéj, która nas wszędy

utrzymywała i nieprzyjaciołom tamę w bitwach stawiać rada była. Jakoż kiedyśmy się zabierać radzi do utarczki z pohanem tego świtania, odebrałem pisanie waszéj miłości, mojéj sercem ukochanéj i wieczyście miłéj małżonki, toż pociechę słówek kilku, a kto wie, może być że i w ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że wasza miłość, ukochana i miła małżonka czytając to moje pisanie nie będzie żalić starca i sił mych, a chociażby i życia dla obrony rzeczypospolitéj i chrześcian. Toż ta pociecha będzie sercu memu... Nie turbuj się w. miłość, najukochańsza małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami; a chociażbym i poległ, toż ja stary i na usługi rzeczypospolitéj już nie zdatny, a Pan Bóg wszechmogący da, że i syn nasz, miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pohan zaprawi i pomści się krwi ojca swego. Na wypadek jakibądź zalecam w. miłości najukochańszéj małżonce miłość dla dziatek, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze rzeczypospolitéj... co pan Bóg chce z swéj łaski dać, niech się stanie, a wola Jego św. będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tém się modlitwom i łasce waszéj miłości najukochańszéj żony polecam i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam. W obozie pod Cecorą dnia 6 października 1620.

Jéjmość do zgonu kochający małżonek i ojciec

Stanisław Żółkiewski, hetman w. kor.“

Niestety smutne przeczucia wodza ziściły się zbyt wcześnie. Zaledwie ruszono z miejsca odpoczynku, znowu niesforni zaczęli wołać, aby porzucić tabor i konno uciekać do Dniestru. Jeszcze póki dzień trwał, póty udało się wodzom hamować nieposłusznych; ale ciemność zawsze do wszelkich zbrodni uzuchwala. O północy ciurowie rozrywają tabor, chwytają konie swych panów, rabują resztki ich mienia i rzucają się w bezładnéj ucieczce ku Dniestrowi. Powstaje zgiełk, hałas i zamieszanie w taborze polskim. Tym razem srogi Kantemir spostrzega na nieszczęście popłoch; rzuca się natychmiast ze swymi Tatarami na Polaków, rozbija tabor, ściga i morduje rozpierzchłych. Teraz już rzeź sroga następuje; nurza się poganin we krwi chrześciańskiéj.

Obaj hetmani stoją jeszcze na czele 300 jeźdzców wśród ogólnego zamieszania. Wtém podaje ktoś radę, aby sposobem kozackim stroczyć konie i pod ich zasłoną cofać się ku Dniestrowi. Żółkiewski przebija własnego konia, na znak, iż uciekać nie myśli. Nagle zatętniały kopyta tatarskie, słychać już z bliska straszliwe wycia pogan — oddział hetmański ogarnia ślepy i szalony strach; wszystko porywa napowrót za konie i ostatkami siły rwie ku granicy.

Przy hetmanach zostaje tylko garstka 11 walecznych, wiernych do śmierci. Oddział postępuje pieszo naprzód; Żółkiewski jedném ramieniem opiera się na poruczniku Złotopolskim, drugiem na domowniku swoim Kurzawskim,

hetman polny kroczy przed nim. Wszyscy zaklinają osiwiałego wodza, by dosiadł konia i ratował drogie życie; ale on nie chce porzucać swoich towarzyszy, jak dobry pasterz, który kładzie głowę za owieczki swoje. Na prośby i zaklęcia odpowiada ze spokojem i godnością: „nie wsiędę, miło mi przy was umierać, niechaj Pan Bóg nademną wyrok, który uczynił, kończy!“ Towarzysze wsadzają go gwałtem na konia; wówczas hetman łączy się z przebiegającym właśnie oddziałem jazdy polskiéj. Nacierają na oddział tłumy Turków i Tatarów; hetman z zapałem młodzieńca odcina się nacierającym wrogom, wreszcie z pociętą ręką prawą, raniony w głowę, pada pod ciosami pohańców. Jakiś Turek odcina mu głowę, i zanosi do wodza swego Skinderbaszy. Ten kazał ją nosić przed sobą na wysokiéj spisie na znak zwycięstwa, a potem posłać cesarzowi tureckiemu w Konstantynopolu, gdzie ją powieszono na postrach chrześcianom nad bramą pałacu cesarskiego. Taki był smutny ale przesławny zgon bohatera.

Hetman polny Koniecpolski, syn i bratanek hetmana Żółkiewskiego, książe Korecki, Marcin Kazanowski i wielu innych wpadło do niewoli pogańskiéj. Ów porucznik Złotopolski który prowadził hetmana, był świadkiem jak do niewoli wzięto Koniecpolskiego. Już jakiś Wołoch z obozu nieprzyjacielskiego, kazał klęknąć porucznikowi, aby go ściąć; wtem Złotopolski poskoczył i uciekł szczęśliwie do bli-

skiego lasu. Znalazłszy swoich towarzyszów błąkał się z nimi przez całą noc, nareszcie nad rankiem puścił się w drogę ku Dniestrowi. Widząc, że pędzi w tę stronę oddział Tatarów, rzucili się na ziemię, udając trupów, bo byli prawie nadzy i pokrwawieni. Tatarzy przeszli obok siekąc po trupach, zabili jednego z towarzyszy porucznika; reszta przeczekawszy chwilę dowlokła się z nim do Mohylewa. W tak strasznych przejściach, gdzie, jak to mówią, kilka śmierci na jednego czekało, nie dziw, że tylko mało znalazło ocalenie. Najwięcéj uratowało się Lisowczyków, bo się dzielnie trzymali w kupie. Z 1200 wróciło ich 700; z piechoty zostało tylko 200, zresztą z hussaryi, Kozaków i ciurów razem kilkaset. Słowem, ledwie dziesiąty wrócił do domu.

Dowódzca artyleryi Teofil Szemberg, jedyny ze starszyzny, który wyszedł cało, opisując tę wyprawę, takie powiedział słowa: „O nieszczęsna swawolo! któraś tak prędko tak zacny naród zwyciężyła, którego ośm dni nie odpoczywając ani głód, ani praca żadna, ani moc i wielkość nieprzyjaciela, przełamać nie mogła!“ I rzeczywiście, jeżeli się rozważy, że w saméj bitwie zaledwie koło tysiąca ludzi znalazło śmierć lub niewolę a reszta w późniejszych już przeprawach zmarniała, dopiero się widzi co za nieszczęścia ta niesforność sprowadziła. Gdzie żołnierz powstaje na wodza, chłop na pana, sługa na swego służbodawcę, gdzie bracia starsi i młodsi, synowie jednéj i téj sa-

méj ziemi biorą się między sobą za głowę, tam błogosławieństwa Bożego być nie może — tam powstaje zamieszanie, z którego tylko obcy, tylko nieprzyjaciel skorzystać musi. Bo kłótnia, niezgoda, nieposłuszeństwo dla starszych i przełożonych, to posiew szatana, który gorzkie owoce rodzi. Czyż trzeba gdziekolwiek indziéj lepszego na to szukać przykładu, kiedy z żywota Żółkiewskiego ta prawda tak jasno występuje, jakby na dłoni. Kiedy Moskale zaczęli się między sobą swarzyć i mieszać, tośmy odnieśli takie nad nimi zwycięstwo, jakiego świat i korona polska nie widziała; gdyśmy sami między sobą popadli w niezgodę i w swawolę, to nam poganin krwawe pozadawał cięgi. Przez winę niegodziwych zginęli winni i niewinni, położył głowę jeden z najzacniejszych i najsławniejszych naszych ludzi.

W istocie cała Polska pokryła się żałobą i nad całą zawisła teraz groza nawały pogańskiéj. Ale Żółkiewski jakby jeszcze z po za grobu przynosił ojczyźnie przysługi. Dobrze to mówił w ostatnich dniach swoich, że może przynajmniéj ciałem swojem zagrodzi nieprzyjacielowi drogę do ojczyzny. Turcy na razie zbyt byli wycieńczeni i osłabieni pogonią, aby mogli wkraczać do krajów polskich; a następnego roku, kiedy sam ich cesarz Osman na czele 300.000 wojska wybrał się na zawojowanie Polski, zastał ją dobrze do boju przygotowaną. Los Żółkiewskiego i ostatnie przestrogi jego, w liście do króla złożone, stały się zachętą do

wytężenia ostatnich sił, od których jakby od skały odbiły się pod Chocimem nieprzeliczone zastępy pogaństwa.

Dopiero teraz powrócili do domu jeńcy z wyprawy cecorskiéj. Marcin Kazanowski, który udawał prostego żołnierza za mały okup wydostał się z więzów, inni składali wysokie sumy. Żółkiewska za uwolnienie syna i za zwłoki męża musiała zapłacić przeszło 3 miliony złp., na co się najznakomitsze rodziny polskie poskładały. W kilkanaście miesięcy po opuszczeniu zamku swego wracał Żółkiewski ale na marach czerwonem suknem okrytych, na znak wylania krwi dla ojczyzny, wracał, aby spocząć już nie w zamku ale w kościele, na spoczynek wieczny. I nie spełniła się nawet ostatnia nadzieja hetmana, „że syn jego miecz po ojcu wziąwszy, na karkach go pohan zaprawi“. Jan Żółkiewski pięknie sobie poczynać zaczął; już był zmówił sobie okazały poczet wojska, aby zdobyć siedziby tatarskie w Krymie, gdy wtem rana cecorska otworzyła się i zaprowadziła go przedwcześnie do wspólnego z ojcem grobowca. Ale kiedy córka hetmana a siostra Jana Żółkiewskiego, Zofia Daniłłowiczowa, budowała ten wspólny grobowiec, to żył już na świecie wnuk jéj Sobieski, który wziął oręż pradziada i stał się jego prochów mścicielem. Jan Sobieski często dumał przy tym pomniku o sławnych czynach swego pradziada. Potém dorósłszy i stawszy się jego godnym naśladowcą, kazał grobowiec odnowić

i wyryć na nim te słowa, które sam wypełnił: „Niechaj powstanie kiedyś mściciel z moich kości!“ Tak to nawet groby bohaterów dają przyszłym pokoleniom natchnienie do wspaniałych czynów!

*
* *

Wróćmy do kościoła żółkiewskiego, z któregośmy wyszli. Minęły wieki nad nim i przeszły różne nad Żółkwią odmiany. O dawnéj sławie wojennéj dziedziców Żółkwi już teraz cicho na świecie. Ale w kościele trwa wieczna po nich pamiątka; modlą się za nich kapłani w kościele i westchnie za ich duszę przechodzień przy grobowcu. A wkoło kościoła piękne i czyste miasto nowém rozkwita życiem i nigdy zapomnieć nie może, kto je założył i wyposażył, kto o jego ubogich i chorych pamiętał. Trwalszem snać od wojennéj chwały okazało się to co wielki Żółkiewski w cichéj a usilnéj pracy dla chwały Bożéj, dla ozdobienia ziemi ojczystéj i dla dobra ubogich współbraci uczynił.

PUBLIKACYE
„MACIERZY POLSKIEJ“.

			cnt.
Nr.	1.	Wyczerpany Gawarecki: O ziemi i dob. gospod.	12 —
„	2.	Wyczerpany. Starkel J.: Lek. na biedę (w. 2).	8 —
„	3.	Wyczerpany Makowyńska: Opow. dla ludu.	6 —
„	4.	Wyczerpany W. Podgórska: J. Sobieski (2 w.)	16 —
„	5.	Wyczerpany Groja: Rodzina (Konkursowe).	10 —
„	*6.	**Pszczelnictwo**, przez K. Krasickiego, z 43 rycinami (drugie wydanie, powiększone)	24
„	*7.	Wyczerpany. Bolesławowicz: Cudowne leki . . .	6 —
„	*8.	**Dobry syn**, bajka z przed lat tysiąca, przez Władysława Bełzę (drugie wydanie)	10
„	*9.	**Jak z sobą powinni żyć małżonkowie**, opowiedział ksiądz S. Mazurek (drugie wydanie)	8
„	*10.	**Kochajcie przyrodę**, przez K. hr. Wodzickiego . .	16
„	*11.	**Domowy poradnik lekarski**, przez dra J. Sawickiego, z rycinami (drugie wydanie)	10
„	*12.	**Weterynarya popularna**, przez J. L. Kubickiego, w sztywnej okładce, z drzeworytami	50
„	*13.	**O pracy i własności**, przez Alberta Wilczyńskiego	10
„	*14.	**Zamożny gospodarz**, przez Antoniego Maślankę. .	6
„	*15.	**Głodowe lata**, opowiadanie przez Karola Benoniego	10
„	*16.	**Pielgrzym w Dobromilu czyli krótka historya polska**, z 5 obrazkami	16
„	*17.	**Z czasu powodzi.** Opowiadanie. Napisał Romuald Starkel	4
„	*18.	**U nas taki zwyczaj**	4
„	*19.	**Antek Socha**, młody wojak. Napisał Józef Grajnert	14
„	20.	**Królowa Korony Polskiej**, żywot Matki Boskiej, przez Wł. Bełzę, z dwoma rycinami	8
„	*21.	**Żywot św. Wojciecha**, przez Darosława Janowskiego, z dwoma rycinami.	8
Nr.	*22.	**Bartłomiej Osnowa**, czyli jak sobie radzili tkacze w Komarowie, opowiedział dla ludu wiejskiego Juliusz Starkel	14

cnt.

„ *23. **O budowie zagród włościańskich**, napisał Maciej Moraczewski c. k. radca budownictwa, z 13 rycinami w tekście 20
„ *24. **Zużytkowanie nieużytków**, napisał Edmund Jankowski ogrodnik 6
„ *25. **Życie sierotki Kasi**, przez M. Zajączkowską . . . 14
„ *26. **Braterstwo ślubne** 6
„ *27. **Chrzest Litwy**, przez L. Tatomira 8
„ *28. **Święta Kinga**, przez E. Zorjana 8
„ 29. **Sąsiedzi**, napisał Felicyan Pintowski 16
„ *30. **Bodajby wszyscy byli tacy**, napisał Stanisław Miłkowski 10
„ *31. **Życie św. Brunona**, opisał Darosław Janowski . . 8
„ *32. **O królu polskim Kazimierzu Wielkim**, królem kmiotków zwanym, napisał Lucyan Tatomir. 8
„ 33. **Jan Kuba Sośniak wyszedł na szlachcica** i co się potem stało. Historya prawdziwa, opowiedziana przez Michała Bałuckiego 10
„ 34. **Pogadanki o powszednim chlebie**, z ryciną, napisał Alfred Szczepański 12
„ 35. **Łąki i pastwiska**, przez autora książeczki „U nas taki zwyczaj“ 6
„ *36. **O sławnym pisarzu J. I. Kraszewskim, założycielu „Macierzy Polskiej“**, z portretem, opowiedział Darosław Janowski 10
„ 37. **Jadwiga królowa polska**, opowiadanie z dziejów naszych przez Wiktora Czermaka 6
„ 38. **Święty Jan Kanty**, patron młodzieży polskiej, przez E. Zorjana 6
„ 39. **O zakładaniu i utrzymaniu sadów**, napisał Fr. Kozdraś 8
„ 40. **Pan Tadeusz**, przez Adama Mickiewicza, z portretem i życiorysem poety 10
„ 41. **O Hetmanie Żółkiewskim**, napisał Fryderyk Papée . 8
„ 42. **O obowiązkach gmin względem dróg publicznych** (książeczka polecona przez Wysoki Wydział Krajowy) napisał Felicyan Pintowski 10

UWAGA. Książeczki »Macierzy« oznaczone gwiazdką * polecone zostały przez Wysoką c. k. Radę szkolną krajową do użytku bibliotek szkolnych i służyć także mogą na nagrody pilności dla uczniów uczęszczających do szkół ludowych.